

Moja decyzja o podjęciu roli wolontariusza w wyjazdowym hospicjum dziecięcym nie była decyzją prostą ani łatwą. Od kiedy pamiętam zawsze brałam udział we wszelkich akcjach charytatywnych i organizacjach pomocy. Pamiętam wszelkie akcje i zrywy: pomoc powodzianom, organizację imprez wszelakich dla małych pacjentów onkologicznych, zbiórki dla biednych uczniów mojej szkoły itd. To, że zainteresowałam się medycyna paliatywną to jakiś nadzwyczajny PRZYPADEK, czy szczęśliwy zbieg okoliczności. W czasie studiów na Akademii Medycznej we Wrocławiu dowiedziałam się, że w Krakowie przez organizację studencką organizowane były warsztaty dotyczące śmierci i umierania. Temat może zbyt poważny jak na nasze lata, ale w związku z tym, że tak mało mówiono nam o tym w czasie zajęć, że nasza wiedza po studiach medycznych o śmierci i towarzyszeniu umierającym jest tak nikła, postanowiłam pojechać. Tam każdy wykład, ćwiczenia chłonięłam całą sobą. W drodze powrotnej do domu myśli mi się kłębiły w głowie.

I to był początek. Potem ukończyłam kurs dla wolontariuszy opieki hospicyjnej, czytałam literaturę związaną z tematem.



To wszystko była wiedza czysto teoretyczna, brakowało mi troszkę praktyki, nadal nie wiedziałam bowiem na czym dokładnie polega praca wolontariusza w hospicjum. Zgłosiłam się do kierownika Wrocławskiego Hospicjum dla Dzieci, którego znałam z czasów studenckich. On wyjaśnił mi wszystko i przydzielił mi rodzinę, do której miałam przychodzić.

Przed wyjazdem do mojej "nowej" rodziny serce biło mi szybciej, w głowie miałam mętlik. Wiedziałam na co choruje mój podopieczny Bartuś, że jest dzieckiem, które wymaga specjalnych aparatów, przede wszystkim ssaka, że jego stan nie jest za dobry, że nie ma z nim kontaktu. I bałam się strasznie, byłam już po studiach, byłam lekarzem a bałam się czy będę umiała go odessać, czy będę wiedziała co zrobić jak dostanie napadu padaczki, czy będę potrafiła przełożyć go, nie robiąc mu krzywdy.

Na początku musiałam się nauczyć wszystkich czynności pielęgnacyjnych przy Bartku, a przede wszystkim nauczyć się rozumieć go, poznać jego zachowania, miny i sygnały jakie nam wysyła. Udało się. Zaprzyjaźniłam się z całą rodziną, młodszy brat Bartka - Marcel to kochane dziecko, z którym można się zawsze pobawić, ze starszym można porozmawiać, pomoże mi zawsze przy awarii mojego komputera, Mama i Tato to weseli i sympatyczni ludzie. W tej chwili nie wyobrażam sobie życia bez NICH. To nie tylko ja im pomagam, wręcz przeciwnie oni mi pomogli zrozumieć wiele ważnych spraw w życiu. Zrozumiałam, że życie jest bardzo kruche, że nigdy nie wiadomo jakie doświadczenia dostaniemy przez los, że należy się cieszyć z każdej chwili spędzonej razem z kimś dla nas mniej lub bardziej ważnym. Zdałam sobie sprawę, że nie należy narzekać na to co mamy, na to co się nam dzieje bo wszystko to co otrzymujemy ma jakiś sens, ma czegoś nas nauczyć. Moja przygoda z opieką paliatywną miała wpływ na moją postawę jako lekarza. W czasie studiów uczono nas, że należy leczyć przede wszystkim, uzdrawiać, i stąd większość nas po zakończeniu edukacji uważa, że śmierć pacjenta jest porażką lekarza leczącego bo dopuścił do tego, bo może nie tak go leczył itd. A to przecież nieprawda, człowiek nie tylko się rodzi on także umiera i jest to coś najbardziej normalnego i oczywistego. Należy tylko nauczyć się potrafić pomóc podczas tego procesu. Mieć szacunek i godność dla śmierci. Zamiast szarpać się, denerwować i złościć na swoją bezradność wobec śmiertelnej choroby należy przystanąć, pogłaskać pacjenta po głowie, złapać go za rękę, zmówić modlitwę. Małego Bartusia odwiedzałam przez ok. 3 lata. Pomimo tego, że nie mógł wyrazić swoich uczuć wytworzyła się pomiędzy nami nic porozumienia. Starałam się mu dobrze towarzyszyć w chwilach zarówno dobrych jak i złych, w okresie dobrego samopoczucia a także w momentach pogorszenia stanu zdrowia. Nie żałuję żadnej chwili spędzonej z moim podopiecznym. Bartusia nie ma już wśród nas, ale jestem przekonana, że teraz to on sprawuje anielską opiekę nad swoją rodziną i nad swoim wolontariuszem.